NUMER 44. DNIA 2-go LISTOPADA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Zapomniane groby

(Z LWOWSKICH CMENTARZY)

Groby dawnych mieszkańców Lwowa tuliły się do murów kościelnych, w cieniu świątyń drzemały na dziedzińcach o krok zaraz od gwaru miejskiego. Człowiek starych wieków krył się nawet po śmierci pod skrzydła kościoła, czekając ziszczenia jego obietnic pośmiertnych, lepiej mu było leżeć wśród żywych niż na uroczysku dalekiem, gdzie wichr tylko jęczy wśród mogił i zeschłem je liściem omiata.

To też gdzie spojrzeć teraz po Lwowie, to bruk tysiącem kopyt i wielkomiejskim ruchem deptany, kryje pod sobą kości tysięcy co już tak dawno pomarli, że i ślad po nich i pamięć na wieki zginęła, na — zawsze. Tuż obok rynku, dokoła katedry, bruk taki twardy i stłumiony, żeby tam nikt nawet snu zmarłych nie pomyślał. A jednak od roku 1370, przez cztery wieki kładły się tam pokolenia Lwowian, na wieczny spoczynek. Dzisiejszy plac kapitulny, to cmentarz murem ongi od ulicy Halickiej otoczony, wzdłuż od kaplicy Boimów, od ulicy Teatralnej i Kilińskiego. Dziś z owego cmentarzyska tylko kaplica została, grobowiec rodu Boimów i figura Chrystusa w grobie, dziś do murów katedry przytulona.

Był dalej cmentarz na dzisiejszym starym Rynku, dokoła kościółka św. Jana Chrzciciela, cmentarz najstarszy; niemieccy koloniści, aż do roku 1615 chowali swych braci na dzisiejszym placu Marji Śnieżnej, dokoła kościoła, plac koło Dominikanów jest starem cmentarzyskiem, tak samo, jak plac koło kościoła św. Anny, dawny cmentarz augustjański, przez lat 277 za wieczne służył miejsce spoczynku, jak wreszcie dziedziniec katedry ormiańskiej.

I ktoby tam wszystkie groby wyliczył, którymi falowały dziedzińce tylu prawie kościołów ile ich tylko było dawniej we Lwowie. Dziś tylko czasem nazwa ulicy przypomni naprzykład, że w dzisiejszym zaułku żydowskim, przy ul. św. Stanisława, stał kościół i cmentarz pod tego świętego wezwaniem, toż przy ul. św. Marka, Szymona i t. d. i t. d.

Tak usypiały te pokolenia jedno po drugiem, pod skrzydła się kościelne tuliły, a żyjący mieli je zawsze koło siebie, patrzyli na groby codziennie, dopóki i na nich wielka śmierci godzina nie przyszła, ale śmierci sprawiedliwej, po pojednaniu z Bogiem i ludźmi.

Na uroczyska zamiejskie, ponure i straszne, duchami upiorów jęczące i bolem i skargą północka ci tylko szli, dla których za życia i po śmierci żadnego nie było zmiłowania. Pod ciemną,

niepoświęcaną ziemię kryli się ci, którym dola broń samobójczą pchnęła do ręki, lub ci, co w drodze zabójstwem skonali, nagłą śmiercią, albo wśród moru i głodu pomarli, kiedy na trupów tysiące i skrzydeł kościelnych nie stało.

Uroczysk takich strasznych wiele bywało we Lwowie, w starym. Prawie wszystkie cmentarze dzisiejsze z nich swoje powstanie wywodzą, z tych miejsc upiornych, skąd rozpacz i groza w godzinie duchów pełzały szumem i płaczem zawodnym, skąd mara szła strachu i pokajania wiecznego, a jęki jakieś i harce szatanów słyszalne były w rozgrzanej fantazji. Człowiek wieków dawnych ze zgrozą myślał o takim spoczynku, toż nawet rewolty bywały prawdziwe, gdy względy zdrowia dla żywych kazały cmentarze przenosić w odległe miejsca za miastem. Ludność naprzykład Warszawy groźną przybrała postawę, gdy zmarłych jej chować chciano za miastem, aż trzeba było dopiero przykładu biskupa Wodzyńskiego, który się testamentem pochować kazał za miastem, żeby się żal tych, co pod kościołem spocząć nie mieli, uspokoił.

W dniach moru i głodu powstało we Lwowie cmentarzysko, dokoła kościoła świętego Wojciecha pod Wysokim Zamkiem, samobójców i nagłą śmiercią pomarłych chowano od końca pietnastego wieku w miejscu, gdzie dziś łyczakowski cmentarz, w czasie morowego powietrza, które szalało za Jana Kazimierza, dwa stare powstały cmentarze: Paparówka na żółkiewskiem i dawny cmentarz stryjski, (który istniał niżej dzisiejszego cmentarza stryjskiego, po lewej stronie gościńca, poniżej nawet parku Kilińskiego), a wreszcie w r. 1682, gdy wojska śpieszące na odsiecz wiedeńską pod Lwowem się gromadziły, powstał cmentarz gródecki.

I jakoś się ludność powoli przyzwyczajała do myśli, że spocznie daleko za miastem. Na cmentarzu gródeckim odbyła się w r. 1751 koronacja obrazu Matki Boskiej, na którem to miejscu wzniosła później hetmanowa korona Ludwika Potocka, stojącą po dziś dzień kolumnę pamiątkową i odtąd cmentarz ten, aż do roku 1874, był miejscem spoczynku dla kilku lwowskich pokoleń, dziś jednak marnieje w oczach naszych bez troski i wspomnienia. Za lat kilkanaście stanie się on echem tylko, tak jak Paparówka, zamknięta w r. 1856, po której grobach huczą dziś tylko wagony kolejowe, przed stacją Podzamcze, lub jak zamknięty w r. 1823 stary cmentarz stryjski, po którym płyt tylko kilka zostało w ogrodzie prywatnym.

Około roku 1790 rząd austrjacki rozpoczął we Lwowie roboty około „Umgrabung der Begräbniss Plätze“. Rozpoczęło się burzenie starych cmentarzysk kościelnych w mieście, a równocześnie urastać począł cmentarz łyczakowski w olbrzymią metropolję umarłych, w kamienny gród śmierci, wspólnie z założonym w r. 1824, a niedawno zamkniętym nowym cmentarzem stryjskim, którego miejsce zajął obecnie cmentarz janowski.

Wspaniałe, a błyszczące pomniki i grobowce odebrały już dawno lwowskim cmentarzom smętek uroczysk. Dziś wśród żwirem wysypanych ulic i ścieżyn jęki pozagrobowe nie biegną strachem upiornym na żywych, chyba gdzieś tam na mogiłkach ubogich, gdzie nędza płacze bolem sierocym, wdowią zasłoną, albo twardej ziemi bryły na nieziszczone padają nadzieje.

Wśród grobów kamiennych cisza szelestem wieńców tylko rozigrana, szmerem modlitw zadusznych, westchnieniem kamiennych aniołów strojna.

To pamięć żywych, te skamieniałe genjusze i postacie, to tylko symbole żalu i straty. Śmierć się pod nie schowała, pod owe groby błyszczące i na mogiły poszła zapadłe.

Żałość ludzka, względnie jej nagrobne symbole dziwne przechodziły zmiany, według tego, ch się widzi na lwowskich cmentarzach. Na grobach najstarszych refleksję jakąś widać, naukę dla żywych, że oto i oni kiedyś w proch się obrócą, tak jako ich przodkowie. Rysowała więc fantazja na kamieniach grobowych klepsydrę, to kosę, a najczęściej piszczele w krzyż złożone i trupie głowy. Później nieco krzyże kamienne, rozmaitego kształtu i struktury, a następnie boleść ludzka przez długi czas symbolizowała się w allegorycznych postaciach „Boleści“, „Żalu“, „Strapienia“, „Pociechy“, „Nadzieji“ i t. d. Obecnemu jednak pokoleniu chodzi przeważnie o pamiątkę, a taką jest prosty obelisk z granitu, gdzieniegdzie z utrwaloną na porcelanie fotografją zmarłego. Nic dziwnego, każde pokolenie ma swoją wyobraźnię, i pojęcia swoje osobne, a tych pokoleń tyle już legło na lwowskich cmentarzach.

Z grobów się czyta historja, a na lwowskich cmentarzach, ta historja tak jasno skreślona, że poznać ją łatwo, wspomnieniem jednem ogarnąć

można, jak kolejno szły jedne pokolenia po drugich. Ot najstarsze — co wolne jeszcze czasy zapamiętało, napisy na grobach polskie ma jeszcze, a wśród nich znane czasami błyśnie nazwisko, czasem godność zmarłego w kamieniu wyryta w czasy Rzeczypospolitej sięgnie jeszcze, ale to już rzadko.

Takich grobów kilka już tylko ocalało, po zawziętości, z jaką w połowie zeszłego wieku stare pomniki niszczono. A wśród nich pojawiają się coraz częściej w obcym już niemieckim języku skreślone napisy — coraz ich — więcej i więcej. Czasem napis „k. k. Kameral-Gefällen-Kassa-Official“ przypomni, że w tych tu grobach strasznej pamięci biurokracja galicyjska swe kości pokładła i austrjacka wojskowość. Ale i ta niemczyzna znika powoli — a jej miejsce nowe zajmują zmarłych pokolenia. Ot pierwsze idzie — weteranów z r. 1831 jest ich na cmentarzu łyczakowskim cmentarzu wiele, wiele tych bojowników kochanych, zaśniętych rycerzy, na apel trąby archanielskiej czekających,

A potem już pomniki coraz bliższe, coraz bardziej znane. Więc pokolenie, co w austrjackich kazamatach było więzione, a potem pokolenie drugie, co sztandar niosło pracy, nauki i odrodzenia, a ot teraz się mnożą pomniki tych ostatnich, co walkę ostatnią, styczniową o wolność przeżyli. Tyle tam, tyle spoczywa tych dzielnych, a biednych, tych naszych, że historyka grobów by trzeba, aby ich czyny przemożne z zapomnienia wydrzec potrafił.

A wśród tych wszystkich grobów kamiennych i żelaznych, kaplic marmurowych i drewnianych krzyżów, najstarszych kilka stoi grobów, zapomnianych i na poły już zniszczonych. Najstarsza z nich na cmentarzu łyczakowskim płyta z roku 1787, zachowała tylko napis „umarł r. 1787 d. 15. iunii“, druga z r. 1788 kryje zwłoki Małgorzaty Zabłotowskiej „która lat 50 przyżyła a 16. novembra r. 1788 przeniosła się do wieczności“ trzecia znowu powiada: „Leopold Karol Piller, który żył pobożnie lat 21 i umarł w stanie kawalerskim R. p. 1793“. Przechował się między innymi także pomnik z zeszłego wieku z ormiańskim napisem i drugi w kształcie ścianki stojącej, na której napis: „D. O. M. Rozalij Panną zmarłej dnia 10.7 bris 1799 roku. Ukochanej córki najstarszej Wartanowiczów, z którą na świecie cieszyli się lat 17 y mieś. 4. Wyrok najwyższego Pana i Boga przeniósł ją do wieczności“. Na cmentarzu gródeckim najstarszy nagrobek datuje się z r. 1792. Leży w nim Franciszek Herman, cechmistrz mydlarski.

Na cmentarzu łyczakowskim wreszcie całe pokolenia rzeźbiarskie złożyły trud swój i pracę. Obok innych pomniejszych znajdujemy tam dzieła takich rzeźbiarzy jak Cyprjan Godebski, Abel Marie Perier, Parys Filippi, Tadeusz Barącz, Dykas, Antoni Kurzawa, Juljan Markowski i w. i.

Franciszek Jaworski.



Kazimierz Króliński.

Pójdę na cmentarz...

Pójdę na cmentarz, lecz nie o tej porze,
Kiedy tysiączny tłum na grobach mdleje
I żywą wiarę w miłosierdzie Boże
I zmartwychwstania promienną nadzieję
W tych grobach grzebie...

Pójdę na cmentarz, lecz nie w owej chwili,
W której świat pychą opętany własną —
Umarłym w groby ją przelać się sili
Powodzią świateł, od których aż gasną
Gwiazdy na niebie...

Pójdę na cmentarz nie w takiej godzinie,
Gdy na nim rojno od tłumu i gwarno,
Gdy pieśń żałobna z serc tysiąca płynie
I pokój mogił i ciszę cmentarną
Prochom zamąca...

Lecz sobie taką godzinę upatrzę,
W której sen ziemię uchwyci w swe szpony
I wszelkie ślady życia na niej zatrze...
Gdy nie zawadzi o cmentarz uśpiony
Dusza żyjąca...

W takiej godzinie, gdy siła nieznana
Pogasi gwiazdy, wiatr klątwą obłoży
Rozkaże miastu zamilknąć do rana —
Pójdę na cmentarz, jak echo bezdroży
Szeptać pacierze...

Za dusze nędznych, co drogą życiową
Przeszli samotni i od kiedy w ziemi
Spoczęli — żadne z ust człowieka słowo
Nie uleciało ku Bogu za niemi...
Ulżę im — wierzę!...

Z cyklu „NIEZAPOMNIANI“

W noc grobów.

Ani jednej gwiazdy na niebie...

Ani żadnego znaku życia dookoła.

Noc i cisza. Głucha — straszna cisza nocy tej, w której żyjących myśli kładą się, jak cienie długie, po mogiłach zimnych, a widma tych, co odeszli i nie wrócą nigdy — rysują się w pamięci i szepcą wspomnień pacierze.

Straszna noc!.. Umierająca zimowym snem przyroda nie ma już nic do powiedzenia. Wszystkie pieśni jej umilkły, wszystkie jej plany i plony zanikły — wszystkie żary i ognie słoneczne zagasły... Tylko chmury kłębią się i zbijają w nieprzebitą masę, z której albo długie strugi dżdżu lać się będą, albo zimna szata śniegu opadnie... A ludzie?...

Szczęśliwi, jeśli mogą przytknąć usta do mokrej ziemi na mogile tych, którzy im byli drodzy...

Lecz są tacy, którzy i tego nie zaznają...

Noc straszna! Ani jednej gwiazdy na niebie, ani żadnego znaku życia dookoła...

Obóz w lesie ukryty spoczywa, bo już sił nie stało do dalszego marszu i noc ciemna ukryła tu garstkę bohaterów, skrzydłem litości...

Rozłożeni dookoła na mokrej ziemi, boją się nawet zgarnąć trochę liści suchych, aby szelestem nie zdradzić swego pobytu... Nawet ranny z bolu nie jęknie, aby głos najcichszej skargi w dal nie doszedł...

A on stoi na czatach.

Chryste!.. Jak ciężki mu dziś ten karabin, co zawieszony na ramieniu, zdaje się, ciśnie ciężarem wszystkich krzywd i tęsknot długo zbieranych, lecz ani razu nie wypłakanych...

On tu... a ci, którzy go wiedli w noc taką na cmentarz wioskowy i uczyli tam modlić się za zmarłych, gdzie są?..

Jedna tylko, jedna siostra została... i ona może teraz, sama jedna na mogiłkach duma, może wieńce z suchych liści rozścieliła i oplotła mogił rząd jedną smugą dębowych, złotych liści...

Jak dobrze im, iż usnęli na długi spoczynek, w wiosce ich, bo mogiły mają razem... i w każdą noc taką, w której dzwony płaczą po umarłych, światła płoną na cmentarzach i siostry lub matki idą wspominać drogich sercu — przy ich mogiłach któż będzie, któż ozwie się szeptem pacierza:

— Dobry Jezu, a nasz Panie!.. daj im wieczne spoczywanie!..

A jego gdzie odnajdą ci, co go wspomną kiedy?..

Czy wspomni?.. Czarne, duże jej oczy, może już teraz wpatrzone są w twarz inną... myśl jej, może już teraz osnuwa się przędzą jedwabnika uczuć, około innego serca i innej duszy, a on tu — w lesie — w mroku nocy żałoby, grobów, łez i modlitw stoi na czatach i ciężki karabin ma na ramieniu.

Nędzny jest!.. Wyciągnąwszy ramiona do służby ofiarnej, stanąwszy przy ołtarzu, przy którym ma się o sobie zapomnieć, on — tęsknić poczyna.

Za czem?.. Za sercem dziewczęcia?.. I cóż ono wobec lasu szubienic, cmentarnych grobów nie usypanych i krzyżami nie znaczonych...

A tu ani jednej gwiazdy na niebie, ani żadnego życia dookoła. Chmury czarne, jak duchy straszne, kłębią się nad nami... Mgła zimna, wilgotna, spada na nasze oczy — a myśli lecą i lecą.

Rok temu — byliśmy razem na mogiłkach i siostra i ona... Dzwonek kaplicy cmentarnej umilkł już — światła dogasły i szepty ludzkie cichły... Od umarłych wracano do życia, a my stali jeszcze. I zdawało się nam, że jutro życia pocznie snuć same jasne pasma, że rozwijać się nam będą same pęki róż niewiędnących... że dla żywych życie umie rozścielać drogi, pełne nadziei i marzeń... a dziś...

Może ta blizna na twarzy sprowadza gorączkę i może to przez nią jakieś obrazy dalekie rysują się w myśli...

Otarł rosę rękawem. Uczuł chłód jeszcze większy, przeszedł parę kroków w lewo.

Ten gruby, osuszony pień drzewa, jakby błysnął światłem z daleka... lecz nie! To przywidzenie.

Ale dlaczego widać za nim cokolwiek dalej, linję prostej sosny, kiedy przed chwilą jej nie widziałem...

Istotnie!.. Coś błyska... ruch słychać — zbliżają się!...

. . . .

Porucznik Bielski daje znać dowódzcy oddziału... Wszystko do boju już gotowe.

A pułkownik Syrewicz, który dowodzi połączonymi oddziałami jazdy gostyńskiej i sieradzkiej, nie czeka na pierwszy odgłos strzału, lecz z ukrycia rzuca się, jak burza, na wroga.

Było to w Zaduszną noc roku 1863 pod Kiernozią. Ze strony Czerniewa, w największej cichości podeszło 3 roty moskiewskiego tomskiego pułku z kozakami linjowymi...

Otoczeni wielką liczbą wrogów, byliby nasi zgubieni, lecz ocalił ich Bielski wczesnem powiadomieniem.

Walka zawrzała.

Zaiste, była to noc cmentarna i życie od niej zdawało się bardzo daleko, a choć mogiły nie płonęły tu światłami, duże krzyżów ramiona nie błogosławiły pamięci zmarłych, choć sierót i wdów płacze nie ścieliły się rosą po ziemi, noc to była mogilna i pełna grozy.

Drzewa nagie, płaczące rosą zimną, lały krwawe łzy, bo z ran walczących i upadających krew bryzgała daleko i spływała po wsiach, jakby po licach świadków zbolałych. Ziemia mokra i zimna uścieliła się ciałami, a szczytami drzew płynęła żałobna pieśń strasznej modlitwy, bo po

wtarzana echem jęków, hukiem strzałów i szczękiem broni.

— Bracie!.. nie masz naboju? — pyta szeregowiec Buchmic kolegę Jakubowskiego... ostatni strzał dałem...

Jakubowski na to z bolem pokazuje mu pustą ładownicę...

— Zwiąż mi rękę — szepce wachmistrz Bolechowski do Kryzy — bo mi tak krew bucha, iż nawet pałasz w dłoni się ślizga, utrzymać go nie mogę...

A Kryza ręki wyciągnąć nie może, bo mu już zwisła bezwładnie w ramieniu...

— Truj! — woła z zapałem Głowacki, chłopak silny, w około którego wre walka najcięższa, a w tej chwili cięty przez czoło pałaszem wroga spada z konia u nóg Bielskiego.

Chwyta go Bielski, podnosi, lecz unieść nie może, bo ciało młodzieńca ociężało strasznie, a przecisnąć się trudno przez te gąszcza pni i ludzi zwartych z sobą...

— Powiedz ojcu, żem wytrwał... do końca — szepce Głowacki charczącym głosem — powiedz, żem ja nie ostatni syn jego; zostało dość sierot, niech je przygarnie...

Trzask! huk!.. komenda głośna... cięcia pałaszy i potem co raz ciszej — co raz ciszej...

O 4-tej rano las stał głuchy... krew jeszcze w mokrą ziemię wpijała się razem z deszczem zimnym, a noc mogił i żałoby rozścieliła czarne skrzydła nad ciałami poległych, a nie pogrzebanych jeszcze.

. . . .

Oddział Syrewicza poszedł w stronę Strzemesznej, gdzie znów spotkawszy 2 roty piechoty moskiewskiej i 180 kozaków, stoczył z niemi walkę.

A ranny Bielski, odwieziony do pobliskiej wioski, w gorączce ciągle wzywał braci do walki i dawał rozkazy wojskowe..,

Lecz w tydzień już go sołdaci wieźli do więzienia, a z nim razem ekonoma tego, który rannego przytulił pod swój dach.

A kiedy, żegnając męża, biedna kobieta przecisnąć się chciała do wozu, aby raz jeszcze ucałować rękę najdroższego, kozak pchnął ją z całej siły...

— Nie trza było buntowszczyka w dom brać... teraz czekaj, aż twój mąż wróci...

— O! wróć! — jęknęła nieszczęśliwa kobieta, wyciągając ręce, lecz on nie rzekł ni słowa... nie odpowiedział „do widzenia!“. gdyż wiedział, iż nie wracają ci, których Moskwa bierze...

Bielski tylko, podniósłszy się wyżej, zawołał dość silnym głosem: „Jeśli my nie wrócimy — wrócą po nas inni... ci wskrzeszą nas w nowych ofiarach!“

Nie wrócił też ani ekonom do żony, ani Bielski do siostry sieroty i tej, która czarnemi oczyma wyglądała go tak długo, jak długo oczy te miały światło życia w sobie...

Zgasło już wszystko...

Noc grobów cicha, a ani jednej gwiazdy na niebie!

Jan Świerk.

EMMA JELEŃSKA

16)

Z MIŁOŚCI.

18 Sierpnia. Nareszcie otrzymałam od Karola wezwanie. Ale nie dlatego, broń Boże, aby do mnie zatęsknił, lub zapotrzebował dla siebie mojej obecności. Bynajmniej!

Ciotka Karzyńska została sparaliżowana. Karol, wezwany do Korzewa, nie widział innej rady, jak przewieźć ją ze wsi do X. Na szczęście, znalazło się obok nas wolne mieszkanie. Biedna

ciotka! nie ma ona przy sobie żywej duszy przyjaznej — bo i z tego jedynaka niewielką ma pociechę. Od siedmiu lat bawi Lutek zagranicą, niby to dla nauk. Zaledwie raz na krótko przyjechał. Ciotka do niego prawie co rok jeździła, ale zawsze wracała jakaś smutna, niespokojna. Nic nie mówiła, ale gryzła się. A teraz, dawno go już nie widziała, bo od wiosny, czując się osłabioną, pojechać do niego nie mogła. Ciągle spodziewała się jego powrotu. Tymczasem Karol pisze, że niewiadomo nawet, gdzie on się obraca, bo z Paryża wyjechał, adresu swego nikomu nie zostawiwszy.

Jednem słowem, ciotka zupełnie jest osamotniona. Na nas, jako na najbliższych, musi spaść obowiązek czuwania nad nią. Tembardziej, że ostatniemi laty bywaliśmy u niej często i ogromnie mię polubiła. Więc Karol pisze, że jeśli mam ochotę spełnić prawdziwie miłosierny uczynek, to powinnam przyjechać. Jutro więc jadę.

Biedna ciotka! z całą rozkoszą pielęgnować ją będę. Przynajmniej komukolwiek na coś się przydam.

X.

Był ciepły, marcowy dzień. Na rzece, wśród spękanych lodów, szumiała woda i pędziła gwałtownie, unosząc kry za sobą. Niebo było błękitne, upstrzone wielkiemi chmurami białemi, które z wiatrem leciały, wciąż przysłaniając słoneczną tarczę. Na szarych jeszcze drzewach tłukły się z wrzaskiem wróble i wrony, mieszkające na starych topolach pod górą, leciały to w tę, to w ową stronę, przecinając jasność dnia łopotem swych żałobnych skrzydeł. Gdzieniegdzie, pod drzewami śnieg jeszcze leżał i, topniejąc, sączył z siebie strumyczki malutkie, które biegły, połyskując w świetle. Czuć już było wiosnę w powietrzu.

Brzegiem rzeki szła Wanda powolnym, trochę leniwym krokiem. Zmęczona była. Tyle dni i nocy spędziła przy umierającej ciotce, tyle godzin nieskończonych czuwała przy niej, czatując na każdy jej ruch, zrywając się za każdym jękiem, w oczekiwaniu ostatniej godziny. A gdy wreszcie przyszła ta ostatnia godzina, i gdy ciotka Korzyńska skonała na rękach odnalezionego nareszcie syna, znowu spadły tysiączne do załatwiania sprawy i kłopoty. Bo, jakby na domiar złego, Karol był zmuszony wyjechać w parę dni po pogrzebie — i Wanda została sama z rozpaczającym Lutkiem.

Zmęczoną się czuła. A ta budząca się wiosna, ten ciepły podmuch wiatru, ta jasność dokoła i migotanie biegnących zewsząd wód — rozstrajało ją bardziej jeszcze. W oczach jej się ćmiło. Czuła dokoła siebie ten rwący pęd natury, kruszącej lodowe okowy, ten cichy szept ziemi, pragnącej ożyć i rozkwitnąć — tę niecierpliwość, to pożądanie. I bardziej jeszcze czuła pustkę swego życia, pustkę serca, w którem i miłość i nadzieja wygasły, szarzyznę tej długiej drogi, co przed nią leżała jeszcze, i samotność swą wieczną. Wszystko dokoła niej chciało życ, kwitnąć, kochać, i rozradzać się w nieśmiertelność — ona jedna szła brzegiem rzeki, powolnym, leniwym krokiem, taka smutna i nędzna w tym radującym się dniu wiosennym, taka obca wszystkiemu, taka nikomu niepotrzebna. „Przez czas choroby ciotki, czułam przynajmniej, że nie jestem zupełnie do niczego — myślała, patrząc na mknące wśród fal kry lodowe — miałam jakiś obowiązek, troskę, wiedziałam, że coś muszę robić, że komuś na tem zależy, że ktoś na mnie liczy. A teraz? Lutek wyjechał do Korzewa, wszystko po dawnemu. Nawet Karola niema, a zresztą, choćby i był... Znowu się rozpoczynają te bezcelowe dni, ta bezczynna krzątanina. O, Boże, kiedyż się to skończy!"

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Epifania* (Jasełka szczyrzyckie), obraz sceniczny w 3 aktach, 6 odsłonach (z nutami), napisał M. Waligóra.

Jest to rzecz wcale udatna, wyróżniająca się z pośród wielu podobnej treści utworów. I słusznie też autor powiada w przedmowie: „Dzięki dobrym chęciom, mamy już liczne wydania „Jasełek“, lecz wiele z nich nie odpowiada swojemu celowi. Są bowiem albo zbyt liche, albo trudne, wymagające wybitniejszych sił muzycznych i aktorskich. Chodzi zaś przedewszystkiem o lud wiejski i małomiasteczkowy. Wskazane tedy byłyby „Jasełka“, któreby starszych nie nudziły, a dla młodszych zaś były przystępne“. Że temu zadaniu odpowiadają J a s e ł k a s z c z y r z y c k i e, dowód, iż „były grane z dużem powodzeniem w szkole ludowej Cystersów w Szczyrzycu. Przedstawienie (z manuskryptu) wykonała dziatwa szkolna, wieku od 8—12 lat. Dano 10 przedstawień, a za każdym razem budynek szkolny w formalnem był oblężeniu. Karety, sanki i sanie zajeżdżały, jak na wystawę. Wieśniacy ronili łzy z rozrzewnienia, lub śmiali się do rozpuku. Zadowolenie, zachwyt i uznanie były jedynem echem przedstawienia“. To też J a s e ł k a s z c z y r z y c k i e można polecić gorąco wszystkim zakładom wychowawczym i szkołom ludowym. O.

PISMA. *Kwartalnik historyczny*, rocznik XVI, zeszyt 3. Oprócz dalszej części rozprawy dra A. Prochaski p. t. „Rokosz lwowski z r. 1587“, w której autor zajmuje się kwestją autorstwa djalogu „Conciones“, oraz jego rozbiorem, znajdujemy tutaj nader ciekawy artykuł G. Manteuffla „Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandji“, traktujący o roli Jezuitów w tych krajach, nadto J. Bielińskiego „Zakłady naukowe w gubernjach zachodnich do utworzenia wileńskiego okręgu naukowego“, sprawozdanie publikacji rosyjskich dokumentów, tyczących się szkolnictwa. Po „Miscellaneach“ obfity dział recenzji, niejednokrotnie bardzo obszernych, dalej przegląd literatury historycznej wieków średnich, kronika i przegląd czasopism dopełniają, jak zazwyczaj, zeszytu. W dodatku mamy polemikę dra B. Limanowskiego w sprawie dawniej drukowanej recenzji książki jego o powstaniu styczniowem.

SZTUKA. *Nowy styl swojski.* Pod tym tytułem zamieszcza ostatni numer petersburskiego „Kraju“ artykuł, w którym p. R. Fański opisuje rozmowę swą z Witkiewiczem, ale nie Stanisławem, lecz Józefem, młodym technikiem warszawskim, który dziwnym trafem nosi to samo nazwisko, co zasłużony promotor stylu zakopiańskiego, sam będąc twórcą nowego stylu, czyli, jak sam go nazywa, „porządku“ — mazurskiego! P. Józef Witkiewicz jest zdania, że styl zakopiański, pomimo wysokiej wartości swych motywów zdobniczych, niema danych na ogólny styl polski. Raz dlatego, że zakopiańszczyzna ma charakter górski, nie nadający się do płaszczyzny, że zatem nie może znaleść zastosowania po za okolicami górzystemi, a po drugie dlatego, że wymagając, jako materjału, drzewa i to bardzo grubego, może być ostatecznie tylko fantazją magnata. Zdaniem p. W., o stylu polskim dopóty nie będzie mogło być mowy, póki nie zostaną wprowadzone wszystkie motywy samorodne polskie, póki w dalszym ciągu nie zostaną one zużyte, przerobione, przetrawione przez artystów, póki w końcu nie okaże się wyraźna, estetyczna, praktyczna, czy też narodowa przewaga jednych motywów nad drugimi — innemi słowy żywotność jednych motywów w stosunku do drugich. Tymi względami, teoretycznie do pewnego stopnia słusznymi powodowany, postanowił p. W. opracować pewne motywy ludowe, stosując je do budownictwa. Motywy, którymi operuje p. W., są mazursko-kujawskie. Znalazł on w tamtych stronach pewne formy, które wydały mu się szczególniej stosownemi przy budowie will podmiejskich, chat włościańskich, dworów i dworków. Zaprojektował p. W. w tym stylu dwa domki, jeden mniejszy, drugi większy, oraz jedną willę. Z załączonych przez „Kraj“ reprodukcji fotograficznych obu domków, trudno doprawdy wyrokować coś więcej ponadto, że autor nie wyszedł jeszcze w swych dążeniach po za zakres eksperymentu. On sam zresztą zwraca uwagę, że fotografja wyrządza projektom jego niemałą krzywdę, ścierając z nich kolory, gdyż motywy mazursko-kujawskie pociągnęły go właśnie dlatego, że można z łatwością rozwinąć je w kierunku polichromicznym. W każdym razie teorje i usiłowania p. Józefa Witkiewicza zasługują na sympatję i uznanie i wprowadzić mogą ożywczy powiew w zakres dążeń, skierowanych ku stworzeniu narodowego stylu polskiego i przestrzegając pjonierów tego ruchu przed zasklepianiem się w dzielniczym patrjotyzmie artystycznym, czy on będzie zakopiańskim, czy krakowskim. *A. C.*